

The background of the cover is a vibrant, surreal illustration. At the top, a dark space is filled with various celestial bodies, including planets and moons in shades of blue, orange, and purple. Below this, a large, multi-faceted crystal floats in the center. Each facet of the crystal displays a different scene: one shows a blue nebula, another a fiery orange landscape, and a central facet depicts a desert with pyramids and a small alien figure. The crystal is set against a backdrop of swirling, ethereal clouds in shades of blue and pink. In the foreground, a man and a woman are seen from behind, walking away from the viewer down a glowing, orange-red path that leads towards a futuristic city with colorful, translucent buildings. The overall atmosphere is one of mystery and cosmic wonder.

FREKWENCJA 350

TOM 1

NATURA KRYSZTAŁU

Aleksandra Fila

FREKWENCJA 350

FREKWENCJA 350

TOM 1

NATURA KRYSZTAŁU

Aleksandra Fila



[Kup książkę](#)

© Aleksandra Fila-Jankowska, 2024

Wszelkie prawa zastrzeżone

Projekt okładki i ilustracja:

Dorina Maciejka

Redakcja:

Mint Concept Sp. z o.o.

Korekta:

Justyna Topolska

Skład i łamanie:

Mateusz Cichosz | @magik.od.skladu.ksiazek

Wydanie 1

Gdynia, 2024

Wydawca:

Space Books

ISBN: 978-83-970629-1-7

INTRO

Wracali z kosmodromu brzegiem morza, nie przejmując się nadłożoną drogą. Feeria gwiazd na bezchmurnym dziś niebie przykuwała ich uwagę.

– Będziesz mnie pamiętać, jeśli zniknę w tej wieczności za Pasem Kuipera? – rzucił niby żartem.

Zatrwożyła się tylko na chwilę.

– Znajdę cię i tam. – Ścisnęła mocniej jego dłoń. – Choć do dziś byłam tylko na Księżycu. Ale coś mi mówi, że spotkamy się z mocą, która przeniknie i wieczność.

MIESIĄC WSPÓŁISTNIENIA

Dni nie do odtworzenia, nie do przecenienia i nie do odzyskania. My – oszołomieni, upojeni aurą przybyszów – zachłysnęliśmy się nadzieją. Oni – opanowani, radzi z odnalezienia swoich tu, w rewirze obcego słońca – oddali się przywracaniu im sprawności. Angażowali się też uczciwie w spotkania z nami. Nadmorskie miasto Solland trwało w stanie ekscytacji od momentu lądowania gości z Uldri. W Akademii Astronautyki – militarnej uczelni, dla której metropolia powstała – typowe aktywności zeszły na boczny tor. Klimat Sollandu inspirował Ziemię nie tylko kanałami mass mediów. Wibrował też namacalnie w eterze, budząc w ludziach marzenia. To był czas, kiedy Oni naprawdę żyli pośród Nas!

Z dzienników „Interstellar, czyli po omacku do gwiazd”

Dla niemal pełnoletniej już Korwetty Burchard był to czas szczęścia. Świadoma rzewnej historii swojego imienia wołała zdecydowanie skrót „Wett”, który Robert wymawiał tak, by oddać pszeniczny kolor jej włosów. Miesiąc temu, w pamiętnym dniu kontaktu, uniknęła śmierci cudem, wykreowanym przez wielu. Przełomową rolę odegrał manewr lądujących Kosmitów. Z ryzykanckiej asysty i udziału studentów tłumaczył się komandor Bryniarski. Wciągnięta w centrum akcji Korwetta

wyłoniła się wówczas ze społecznego cienia – tylko ona mogła podjąć rolę tłumaczki obu cywilizacji.

Uldryjczycy niewiele wyrażali głosem, a jeśli już wydawali dźwięki, można było pozazdrościć im ich zakresu. Sięgał bowiem rejestrów niedostępnych ludzkiemu uchu. Jednak nie to było przeszkodą w kontakcie, tylko słaba przekładalność jednego języka na drugi. Dlatego rozmowa polegała na odbiorze i emisji myśli jako wibracji energii, a upraszczając po ludzku – na telepatii.

Korwetta przeszła w tym chrzest bojowy przy ekstremalnych emocjach, które towarzyszyły lądowaniu przybyszów. W obecnych, spokojniejszych dniach miewała wątpliwości, czy dobrze tłumaczy intencje koryfera Trageriego – uldryjskiego kapitana. Jego cierpliwość i akceptacja utwierdzały ją jednak w przekonaniu, że może ufać swojemu odbiorowi. Czego chcieli goście od Ziemi? Wyruszając z Uldri, niczego poza odnalezieniem zaginionej tu wcześniej ekspedycji Cothleya – pionierskiego koryfera, wielbionego na rodzimej planecie. Potem uznali z pokorą, że Ziemia stała się dla nich miejscem testu i nauki, choć średnia wibracyjna była tu za niska na bezpieczny kontakt. Jak jednak pokazał moment współdziałania przy lądowaniu, Ziemianie (znani podobno w kosmosie jako Mahaborianie) zdolni byli do zaskakujących i pomocnych wzlotów frekwencji.

Korwetta poznała Cothleya przelotnie – o ile można tak nazwać kontakt z jego szkieletem. Widziała go tylko raz podczas wizyty w kabinie bolidaru – statku międzygwiazdowego, zaparkowanego na głównym placu AcAs, czyli Akademii Astronautyki. Bolidar celowo lądował tutaj, a nie na oddalonym nieco kosmodromie, a teraz tkwił jak memento pośród budynków uczelni. Nie pozwalał zapomnieć o uszkodzonych ciałach na pokładzie. Mimo odstręczającego wyglądu Cothleyowych kości i stiamów – twardych części układu światłochłonnego – Korwettę uderzyła bijąca zeń przedziwna tkliwość, a zarazem siła. Cothley robił wrażenie, nawet tak niekompletny. Na szczęście żył i miał się lepiej niż w chwili odnalezienia.

Skądinąd jego wygląd w oczach Ziemiaków był niewiele gorszy od wyglądu zdrowych Uldryczyków, gdyż ludzkie oko nie odbierało w całości ich widma. Dlatego przybysze nie pokazywali się już ludziom bez okrycia, pomni tak zwanego kontaktu zerowego, który skończył się tragedią koryfu Cothleya, jak również dowódcy sollandzkiej AcAs. Radzili sobie, rozpylając lepki aerozol na niewidoczne dla Ziemiaków, delikatne warstwy swoich ciał. Po tym zabiegu wyglądali jak mieniące się tęczowymi kroplami meduzy czy też ameby z wtopionym w ciało ciemnym drzewkiem szkieletu. Te okazałe istoty swobodnie poruszały się w powietrzu, nabierając czasem dużych prędkości. Widok był w sumie sympatyczny, zwłaszcza po przyzwyczajeniu się do niego. Ale według samych przybyszów nie miał on wiele wspólnego z prawdziwą feerią barw ich świetlistych ciał. Barwy te nie były przypadkowe – oddawały poziom ogólnego rozwoju i samopoczucia mieszkańca Uldri.

Na szkielet Cothleya nie dało się niczego rozpylić, gdyż brakowało mu wierzchniej warstwy ciała. Tragueri wyjaśnił Korwetcie, że stan Cothleya – choć lepszy niż pozostałych członków feralnego koryfu, odosobnionych w specjalnej kajucie – jest wciąż zły. Niewystarczająco się poprawił mimo reanimacji na planetoidzie Eros, służącej teraz Kosmitom za bazę, na której wprowadzili wiele warunków własnej planety. Najwyraźniej potrzebna była silniejsza interwencja. Tragueri i jego przybocznicy (po uldryjsku tryferzy) obmyślali plan doprowadzenia koryfu Cothleya do stanu, który pozwoliłby na transport do ojczyzny. Coraz częściej wspominali o syntezie jakiegoś kryształu poprzez synergię emisji pobliskich ciał niebieskich. Tego jednak Korwetta nie podjęła się tłumaczyć, gdyż przekraczało to jej – i tak szerokie – możliwości pojmowania nieznanego Ziemi zjawisk.

Możliwości te zaistniały wskutek zuchwałego zespolenia w jej embrionie cech ziemskich i uldryjskich. Dokonał tego przed osiemnastu laty nie kto inny, tylko koryfer Tragueri, w ramach niejawnej ekspedycji na Ziemię. Korwetta doświadczała teraz wątpliwej łaski bycia hybrydą. *Dobrze, że choć fizyczność mam w pełni z planety, na której przyszło*

mi żyć!, myślała nieraz z ironią. Nie poddała się dogłębnym badaniom biologii jej ciała, gdyż dopiero niedawno odkryła, że jest skutkiem kosmicznego eksperymentu. Nie zdążyła albo unikała tematu...

W końcu żadnych zastrzeżeń do jej ciała nie zgłaszał mężczyzna jej marzeń, spełnionych też przed miesiącem – dwukrotnie od niej starszy komandor Robert Bryniarski. Okazał się jednak za młody, by po kryzysie władzy objąć stanowisko Szefa Bezpieczeństwa sollandzkiej Akademii Astronautyki. Wiceadmiral Alexander Hold, który przejął dowodzenie uczelnią po zmarłym tragicznie admirale Stevenie Fuglerze, pozostawił sztabowi decyzję co do tej newralgicznej funkcji. Tajemnicą poliszynela było, że popierany przez Holda Robert Bryniarski, którego brawurze Uldryjczycy zawdzięczali ocalenie koryfu Cothleya, a Korwetta życie, nie mógł stać na straży bezpieczeństwa *Academy of Astronautics in Solland*. Nie tyle z powodu wieku, ile dlatego, że we wspomnianej akcji pogwałcił procedury militarnej uczelni. On sam zaś – zdegradowany przez Fuglera i zaraz przywrócony w randze przez Holda – o awansie nie marzył. Był wdzięczny przybyszom za obrócenie tutejszego dramatu w... no właśnie, w co? Najpierw w wyczekany stan równowagi, potem w chwiejny, ale wyraźny progres.

Bryniarski przekonał się, że niełatwo nadążyć za inwencją gości z Uldri, ale obserwował ich z podziwem. Wszystko wydawało się przy nich proste, płynne i tak pozbawione ograniczeń, że aż obce przywykłym do trudu Ziemianom. Robert uwierzył prawie, że przybysze znajdą sposób na uzdrowienie swoich rannych. Bo i czas zdawał się z nimi współpracować. Jednocześnie dostrzegł, że w ich obecności kontaktuje się z niechcianymi uczuciami, co mniej mu się podobało. Ale takich stanów doświadczał już w obecności Korwetty i musiał przyznać, że choć mało męskie, rozpuszczały życiowy balast.

Atmosferze odrealnienia Robert zawdzięczał pewnie też to, że w środowisku nie wytykano mu związku z Korwettą. W obecnej optyce był to związek z międzyrasową tłumaczką o uldryjskim rysie, a nie z dziewczyną tuż po maturze. Niektórych zastanawiało, czy Bryniarski

czasem nie miał z nią romansu, gdy była jeszcze uczennicą Zespołu Eksperymentalnego, który prowadził z ramienia AcAs. Mało kto wiedział, że ostatnią klasę ukończyła poza Zespołem. W jej oczach ta bania była skutkiem przyziemnego irracjonalnego lęku zbyt poprawnego komandora. *W końcu jednak się opamiętał*, myślała z satysfakcją, widząc, że przestał mierzyć ją stereotypami. Choć i ją dopadały czasem, banalne jej zdaniem, ziemskie miary w postaci komentarzy kolegów. *Odwalcie się, hipokryci!*, odpowiadała im wtedy w myśli. *Nie macie pojęcia, jakim kosztem wyrwaliśmy światu to, co mamy!*

Funkcji Szefa Bezpieczeństwa AcAs nie objął też rówieśnik i przyjaciel Roberta – komandor Kajetan Brandt – z niepodawanych do wiadomości publicznej powodów. Sztab Akademii zamierzał powierzyć ją, starszemu nieco od obydwu, komandorowi Ericowi Warrenowi. Wielkiego wyboru nie było, gdyż najstarszych oficerów zdegradowano za współpracę z demonicznym admirałem Fuglerem. Co do rzetelności elekta Warrena, graniczącej w oczach wielu ze sztywnością zasad, nie było wątpliwości. Ale Eric Warren jakoś nie pasował do labilnej czasoprzestrzeni (jak zwali obecny stan rzeczy astronauty z AcAs), którą zdawali się wytwarzać przybysze. Gubił się nieco w roli stróża porządku w chwili, gdy porządek spontanicznie narzucali Uldryjczycy. Irytowało go wyraźnie, że posiedzenia sztabu i senatu zastąpiły teraz mitingi z udziałem całej społeczności Akademii, pod przewodnictwem istoty zwanej Traguerim. Obwieszczała je Korwetta i ona je tłumaczyła. Czasem w tych wiecach brały udział nawet trzy obce istoty, którym w sumie nie dało się nic zarzucić, ale Warren wolałby, by jak najszybciej opuściły Ziemię.

Niestety większość kadry zachwycała się możliwościami, jakie dawała obserwacja przybyszów. Koledzy komandora Warrena chłonęli wieści o życiu w skali szerszej od ziemskiej. Na każdym z wieców studenci i pracownicy szkoły niemal spijali słowa z ust Kosmitów, a właściwie z ust Korwetty. Dziewczyny znanej wcześniej Warrenowi jako jedna z uczennic zespołu, który Bryniarski przygotowywał do studiów

astronautycznych, a od niedawna jako jego kochanka. Cóż robić, skoro dowodzący teraz admirał Hold tolerował, a nawet wspierał zarówno Uldryczyków, jak i Korwettę!

Bryniarski zaskarbił też sobie względy obecnego prezydenta Sol-landu, któremu zbiegiem okoliczności uratował wnuka w chaosie uldryjskiego lądowania. No cóż, Eric Warren opuścił wówczas miejsce ryzykownych zdarzeń, nie zostawiając prezydentowi nadziei. Ale każdy rozsądnie myślący człowiek by tak postąpił, ratując przynajmniej siebie od niemal pewnej śmierci. Nie można przecież liczyć na cuda! Warren nie spodziewał się więc teraz serdecznego wsparcia władz miasta czy też rządu Regionu Odzyskanego, który też hołubił przybyszów z kosmosu. Ale szef bezpieczeństwa *in spe* zdawał sobie sprawę, że sympatia władz na pstrym koniu jeździ i niejednokrotnie zmieni się jeszcze polityka. Polityką zaś nie warto zbytnio zawracać sobie głowy, bo szczątkowe armie regionów planety już prawie w całości się rozbroiły. Natomiast Akademii Astronautyki, w zamierzeniach trzy prężne ramiona współdziałające przy penetracji kosmosu, jak też chroniące Ziemię przed ewentualną z niego inwazją, broń posiadać musiały, i to nie byle jaką. I sollandzka Akademia użyła jej przed ćwierćwiekiem, czego owoce właśnie zbierała. O ile więc rządy, niezorientowane w szczegółach badań kosmosu, nie narzucały Akademii swojej woli, zwłaszcza teraz, gdy uldryjska wiedza była trudna do pojęcia nawet dla kosmologów, o tyle społeczeństwo wymagało od dowódców AcAs przejrzystości i moralności. I w tej kwestii wizje Warrena i Bryniarskiego nie zawsze były spójne. Ale to też nie spędzało snu z powiek pierwszemu z nich, mimo chwilowej popularności drugiego. Albowiem za potknięcia militarnej uczelni rozliczany był głównodowodzący admirał, którego wspierał w decyzjach sztab i senat... *Ciekawe, jak Hold zareaguje na uldryjski pomysł, który wykroczy poza ludzką wiedzę?*, myślał Eric Warren, słysząc wzmiankę o jakiejś synergii czy syntezie energii gwiazd. *Zaufa bezgranicznie tym meduzom, czy jednak będzie ostrożny?*

PODEJRZANA SYNTEZA

Robert Bryniarski otworzył oczy z przeczuciem, że dziś wydarzy się coś ważnego. Przechylił się w stronę okna, starając się nie poruszyć Korwetty, która spała z głową wtuloną w dołek pod jego obojczykiem. Obudziła się, jak zwykle przy najbliższym jego drgnieniu. Przyłgnęła do niego całym ciałem i wymamrotała:

– Cześć, kochanie, która godzina?

– Siódma. I kolejny bezchmurny dzień! – odrzekł z uśmiechem. – To ciekawe, bo gdy Fugler sterował pogodą, w czerwcu ciągle lało... O której masz randkę z Kosmitami?

– O dziesiątej... Zdążę jeszcze zaprogramować pranie, mamy zaległości. – Chwyciła leżącego na szafce pilota i skierowała go w stronę pakamery.

Drzwi schowka rozsunęły się i wyjechał stamtąd kosz pełen garderoby. Chciała tylko obejrzyć jego zawartość, bo niespieszno jej było ruszać się z łóżka.

– Zlećmy to Tedowi, co? – Robert wyjął jej pilota z ręki.

Wezwał robota, który spędzał noce w pomieszczeniu gospodarczym, odkąd ona tu zamieszkała. TD3 nie był człekokształtny, ale i tak peszyła ją jego obecność w sypialni. Może dlatego, że zachowywał się zbyt inteligentnie... Teraz ten cylindryczny, grafitowy obiekt przybył bezszelestnie na wezwanie właściciela. Zamrugął niebieskimi

lampkami i pomknął w stronę kosza. *I co teraz?* – Korwetta zadała Robertowi pytanie samym skupionym wzrokiem.

– Wykorzystam twój czas bardziej konstruktywnie niż na pranie. – Zamknął ją w ramionach, gdy przyłgnęła do niego na powrót. – To znaczę dopytam, o co chodzi z tą syntezą kryształu.

Posłała mu karcące spojrzenie i zaśmiała się cicho.

– Muszę być w robocie o dziewiątej, Wett – westchnął i rozluźnił uścisk.

Przetoczyła się po łóżku i wsparła na łokciach.

– Myślałam, że wtorki masz wolne – rzuciła w powietrze.

– Testy na wasze egzaminy wstępne! – rzekł tonem usprawiedliwienia i się podniósł. – Pogadamy przy śniadaniu? – rzucił w drodze do łazienki.

– To ja je zrobię, zajęty komandorze! – Zawiązała chustę plażową na nagim ciele. Nie cierpiała szlafroków, nawet kąpielowych. – Tylko tak jak wczoraj nie będzie ci smakowało!

– Coś takiego mówiłem!? – odkrzyknął, myjąc zęby.

Podążyła za nim, by zmierzyć się z tematem. Zbyt wolno, bo on już się golił.

– Bardzo się starałeś nie mówić, ale krzywiłeś się przy prażonej fasoli – wypomniała.

– Gdzieżby! – Przedobrzył z tym zdziwieniem, pewnie z premedytacją. – Ale zrobmy śniadanie razem – zaproponował i wszedł pod prysznic.

Uchyliła drzwi kabiny i rzuciła do jej wnętrza:

– A co do moich egzaminów na AcAs, to kto mi podpisze zgodę: ty czy matka?

Chyba nie usłyszał, więc wsunęła się za nim. Jej chusta przemokła od razu.

– Osiemnastkę formalnie kończę dopiero we wrześniu – przypomniała. – Podpiszesz zgodę?

– Ja!? – parsknął śmiechem, rozbryzgując wodę. – Nie przejąłem opieki prawnej nad tobą!

– Jasne, że też na to nie wpadłam – uśmiechnęła się z ironią. – Matka nie zrobi problemu po rozstaniu z ojcem... A ja powinnam teraz ostro poćwiczyć, co? – Spoważniała. – Czy rozluźnienie zasady przez wzgląd na wizytę z kosmosu?

– Zapomnij! – Robert zredukował strumień. – I pilnuj się, bo w komisji jest nasz nowy pracownik.

Płci żeńskiej, domyśliła się, czekając na ciąg dalszy. Zrzuciła chustę i stanęła pod dyszą z rumiankowym naparem. Rob namydlił się wolniej niż zwykle, ważąc dalsze słowa.

– Podporucznik Galina Dahl może nie mieć skrupułów – dokończył. Korwetta prychnęła bardziej pogardliwie, niż zamierzała.

– Przez zazdrość o ciebie? – zapytała cierpko.

– Przez to, że ją sponiewierałem publicznie na placu – westchnął. – Gdy ważyły się losy twoje i legendarnego Cothleya. – Spłukał pianę z włosów. – Dobrze, że nie widziałas nagrania. – Spuścił wzrok. – Ona co prawda twierdzi, że rozumie sytuację, ale przeproszę ją oficjalnie na inauguracji... A ty powinnaś sobie spokojnie poradzić po trzech latach w Zespole.

– I roku odwyku – dodała. – Na wygnaniu miałam wylane na treningi i ciało mam nie dość...

– Masz dość, zaręczam! – przerwał. – Na wstępne aż nadto. A wygnałaś się przecież sama.

Gdy zaprotestowała, przygarnął ją do siebie. I zignorował na chwilę uciekający czas.

– Zmotywowałeś mnie – szepnęła, oddając mu pocałunek.

– Ale nie próbuj żadnych salt! – Wrócił myślą do testów. – Tego zabraniam po takiej przerwie!

Włączył osuszarkę i uniośł brwi w zdziwieniu, bo rozpyliła mgiełkę o intensywnym zapachu. Korwetta uśmiechnęła się niewinnie, gdyż wczoraj wlała w nią ampułkę olejku migdałowego. Niemetroseksualny

komandor Bryniarski na szczęście tego nie skomentował. On preferował bazową czystość, ona lubiła eksperymentować z dobrodziejstwami Ziemi – co innego loty, gdzie ascezę gotowa była znosić bez skargi... W pokoju wciągnęła ślizgowy dres i sprawdziła, jak robot posegregował pranie, podczas gdy Robert ubierał się w codzienny, kobaltowy mundur Akademii. Potem zrobili razem kanapki ze wszystkiego, co było pod ręką.

– I co z tą syntezą kryształu, słonko? – zagadnął między kęsami.

– Nie odpuszczasz mi tam, gdzie mam braki. – Przełknęła ostatnią porcję bakłażana i odebrała od TD3 poranną kawę. – Nie rozumiem tej idei Tragueriego, Rob. Niczego podobnego Ziemia nie widziała. Sam to pewnie czujesz, dlatego pytasz...

Machnęła ręką nad stołem dla ujęcia sprawie ciężaru.

– Ziemia nie widziała wielu rzeczy, które dla Uldryjczyków są prostsze od oddania moczu – odrzekł z pełnymi ustami.

Roześmiała się, bo moczu akurat Uldryjczycy nie oddawali.

– Ale ta synergia planet jako istot żywych? – mówił dalej. – I ma z tego powstać... kryształ o właściwościach uzdrawiających?

Niepewnie skinęła głową. Czuła ciążącą odpowiedzialność za tych gości z kosmosu.

– Sam widzisz, jak to brzmi – powiedziała. – Wolę, byś o szczegóły zwrócił się do źródła. Zapytaj dziś na mitingu, *please*, a ja będę tłumaczyć najwierniej, jak się da.

– Dobra. – Spojrzała na zegarek. – Muszę lecieć, kochanie. A Gala jest tylko sekretarzem komisji, przewodniczy Idi Mortini! – rzucił na odchodnym.

Korwetta pisnęła z radości. Lubiła z wzajemnością wesołego komandora Mortiniego w wieku pięćdziesiąt plus, który łącznie miał awansować na kontradmirała. Powinien poradzić sobie z niechęcią służbistki Galiny Dahl do niej. Niechęcią, którą niemal rozumiała.

PRZEŁOMOWY WIEC

Na długo przed mitingiem aula Akademii Astronautyki wypełniła się po brzegi. Pierwszy jej rząd pozostawiano dla władz regionu i miasta. Coraz częściej świecił pustkami – głównie z powodu omawianych tematów, ale nie tylko. Dowodzący w AcAs-Solland admirał Hold miał wrażenie, że ci Kosmici, bez broni i z tragiczną ziemską historią, postrzegani są przez rządy Ziemi jako słabi. Zatem póki co też słabo przydatni. Nie zamierzał wyprowadzać ministrów z błędu, choć z wieloma porozumiewał się poprawnie, a nawet przyjaźnie. Natomiast ostro zaprotestował przeciw rodzącym się pomysłom przejścia uldryjskich zdobyczy technicznych. Przybysze gotowi bowiem byli dzielić się nimi tylko na poziomie teorii, nie zamierzali jednak przekazywać w ręce ludzi żadnej technologii. I to wstrzymało zakusy władz. Bo przyjęcie światopoglądu gości wymagało zmiany ziemskich paradygmatów. Mitingi w Akademii rozpoczęto więc od prób pogodzenia ideologii obu ras, a związana z kosmosem kadra okazała się tu bardziej elastyczna niż rządzący.

Nie znaczy to, że goście milczeli na temat swojej planety. Opowiadali o jej bujnej faunie i florze, życiu w symbiozie z żywiołami natury, współlistnieniu wszystkich szczebli ewolucji – o dziwo – bez wyzysku. Opisywali dobowy ruch dwu słońc Uldri – Sorii i Cermiro, jak też rolę dwu jej naturalnych płynów – wody i tajemniczej plary. Wspominali o ciekłokrystalicznej technologii, w całości podległej

naturze, zmiennokształtnych sprzętach codziennego użytku, samo-sprzątających się kwaterach w tak zwanych Stożkach. Także o zwyczajach gromadnego społeczeństwa, trudnych do pojęcia dla Ziemiaków. Nie pokazywali filmów ani zdjęć ze względu na ograniczony odbiór zmysłowy ludzi. Wszystkie informacje podawali w dużym skrócie, zajęci uzdrawianiem swoich rannych. Obiecywali rozwinąć przekaz w bardziej sprzyjających okolicznościach. No i było coś jeszcze, co nie umknęło uwadze admirała Holda – niepewność koryfera Tragu-eriego co do tego, ile może przekazać ludziom. Nawiązał on do zasady, która przypominała pierwszą dyrektywę z filmu *Star Trek*. Zaznaczył, że przybył tu w poszukiwaniu Cothleya, którego misja nie została mu w pełni wyjawiona. Dlatego zakres współpracy z Ziemią powinien nakreślić Cothley. Przedstawiciele rządów Ziemi póki co nie naciskali. Pamiętali bowiem, że Cothley to ten obcy, który dał się podejść niewielkim siłom admirała Fuglera z Sollandu. I jeszcze pozwolił stopić własny statek – tak niby nowocześnie wyposażony! Cóż cennego mógłby zaproponować?

Admirał Hold brał za dobrą monetę skromne zainteresowanie władz uldryjską filozofią. Nie wtrącały się bowiem w kontakty AcAs z przybyszami. Brak ludzi z ministerstw w pierwszym rzędzie audytarium nie martwił go więc dziś w zupełności. Część oficjeli połączyło się jednak online. Na ich wolnych miejscach usiadło za to dwu spóźnionych studentów. Hold dostrzegł z niepokojem, że uruchomili tam sprzęt – najwyraźniej bezwiednie. Wysłał do nich robota porządkowego i wyłączył głośniki. Goście z Uldri byli tuż, tuż.

– Głównogi w drodze! – nieświadomy sytuacji student szturchnął kolegę. – Kocham tę latającą trzode!

Głos się nie rozniósł, ale translator wrzucił wypowiedziane słowa na ścienny ekran.

– Szkoda, że imiona mają z dupy! – dodał jego kompan tekstem na telebimie. – I jeszcze wymów dwudźwięk... – urwał, bo robot usunął go z rzędu dla VIP-ów i skierował w górę sali.

Kolejne jej rzędy zajęli już oficerowie sztabu i podoficerowie w kobaltowych mundurach. Za nimi spoczywał naukowy senat w cywilnych szarościach i brązach. Cały tył auli wypełnili kadeci Akademii, odziani w granaty przemieszane z bielą.

Do sali weszła Korwetta w towarzystwie gości z Uldri: Tragu-eriego, Rapiłaha i Diavune, którzy majestatycznie płynęli nad nią jak połyskliwe meduzy. Dotarli razem do katedry. Korwetta usiadła w stojącym tam fotelu obrotowym. Goście zawisli niczym duchy tuż nad stołem prezydialnym. Zmienili kształt na polipowaty.

Tragueri jak zwykle przywitał się ze społecznością gardłową inwokacją. Przypominała w brzmieniu „Salamat darlam”. Po koryferze powtórzyli ten odgłos Diavune i Rapiłah. Ludzie AcAs odpowiedzieli pozdrowieniem „Salamat” i lekkim pochyleniem głów. Spoglądali też ku kamerom, bo miting transmitowano wideokonferencją do dwu innych szkół astronautycznych na globie: amerykańskiej CanAm i Syberyjskiej Akademii Gwiezdnej, zwanej w skrócie SYB-em. No i do ludności na planecie w formie holoprzekazu mediów, gdyż obecność dziennikarzy w strefie gości stała się tu ostatnio zjawiskiem powszednim.

Tragueri zwrócił do Korwetty swój pierścień głowowy, który wieńczyły wypustki – dla ludzi słabo widoczne. Przekazywaną myśl ilustrował delikatnym, drgającym dźwiękiem. Ona dźwięku nie rozumiała, ale odbierała rzecz wibracyjnie, czyli – jak zgodzili się to nazywać tutejsi naukowcy – telepatycznie. Taka nazwa przed przylotem Uldryjczyków byłaby tu bluźnierstwem. Teraz ją akceptowano, gdyż mowa o wibracjach wprawiała ludzi nauki w jeszcze większy niepokój.

– Dziś chcemy z wami porozmawiać o syntezie kryształu w efekcie synergii oddziaływań gwiazd – zaczęła Korwetta niepewnie, jak zwykle na początku sesji.

Siedzący w pierwszym rzędzie Robert poruszył się, zaintrygowany.

– To nietypowy eksperyment, niełatwy do przeprowadzenia, ale może okazać się zbawienny dla koryfu Cothleya – kontynuowała. – Efekt

zmaterializuje się tu, na Ziemi, więc prosimy was o zgodę na to. Wyjaśnimy wszystko, co was zainteresuje – dokończyła Korwetta pewniejszym już głosem, rada, że zsynchronizowała się z kosmicznym mentorem.

Tragueri omiół salę błyskami światła z wypustek, które stanowiły złożony narząd wzroku. Kończyły się one ruchliwymi, widocznymi oczami o granatowych tęczęwkach. Wyglądały bajkowo, gdy sunęły w powietrzu. Koryfer zwrócił kilkoro z nich do Korwetty.

– Przejdę do sedna sprawy – zaczęła za nim po chwili dziewczyna. – Jak nam wiadomo, a wam nie wiadomo... – przerwał jej cichy pisk, który stanowił słyszalną frakcję śmiechu istoty zwanej Rapilahem – ... gwiazdy to organizmy żywe.

Korwetta dostrzegła nerwowe poruszenie w trzecim i czwartym rzędzie sali. *Naukowcy protestują*, pomyślała, ale Tragueri nadawał dalej.

– Te gwiazdne istnienia dysponują potężną energią, którą promieniają tak jak wasze Słońce – kontynuowała za nim, zdeprymowana. – Ale mogą wzbudzić jej znacznie więcej. O ile taka jest ich intencja.

Korwetta poczuła, że to zbyt wielka dawka abstrakcji nie tylko dla tutejszych naukowców, ale i dla astronautów. Tragueri z pewnością był tego świadom. Chyba postanowił dziś zmierzyć się z trudną reakcją Ziemi.

– Chcemy wyzwolić taką intencję kilku gwiazd z waszego ramienia Galaktyki – kontynuował jej ustami, przesuwając skan nieba na telebimie. – Użyję waszych nazw gwiazd i gwiazdozbiorów... a więc Sirius A, Orionis Delta, Alfa Centauri i Epsilon Eridani. Dodatkowo, gdyby się udało, dołączymy gwiazdy z Aldebarana: Bellatrix i Plejone. – Wskazał wymienione konstelacje. – Oczywiście we współpracy z waszym rodzimym Słońcem, które my znamy jako Mahabor. Czy są w tej chwili jakieś pytania?

– Tak. – Profesor Giver podniósł się z rzędu zajmowanego przez pracowników naukowych. – Rozumiem, że o wyborze zdecydowała odległość?

Trageri skinął więcem gestem wyuczonym od Ziemiaków. Giver zrobił to głową.

– Ale mnie bardziej interesuje cała idea. – Korpulentny astrofizyk zakasłał teraz. – O co chodzi z tym wyzwoleniem intencji?

Trageri obrócił ku niemu kilkoro oczu na ledwie widocznych słupkach.

– Jeżeli założy pan, profesorze, że kontaktuje się pan ze świadomymi istotami, to nie zdziwi pana, że miewają one intencje.

Albert Giver wzdrygnął się nieznacznie.

– Ale mnie już dziwi samo to założenie – wyrzucił z siebie, podenerwowany. – Na jakiej podstawie twierdzenie, że gwiazdy to istoty żywe?

– Na podstawie doświadczenia, którego akurat nasza cywilizacja ma więcej. – Trageri był niewzruszony. – Ale rozumiem pana ostrożność, profesorze. Zastosujmy więc coś, co nazywacie Brzytwą Ockhama. Czyli uprośćmy myślenie i nie zakładajmy świadomości gwiazd, a tylko to, że potrafimy wzbudzić ich synergię.

– Synergię rozumianą jak? – Głos profesora zdradzał zagubienie.

– Jako współgranie oddziaływań, którego efekt jest czymś więcej niż ich suma – nadawał cierpliwie koryfer. – W tym przypadku efektem będzie kryształ. Doprowadzimy do syntezy.

– Można wiedzieć, jak zamierzacie tego dokonać? – Giver rozpiął kołnierzyk koszuli.

– Poprzez wyzwolenie szczególnego typu emisji u tych ciał. I zespolenie jej.

Trageri odpowiadał na tyle oględnie, że nikt nie był w stanie potwierdzić ani zaprzeczyć. Korwetta zastanawiała się, czy wesprą to jakieś konkrety.

– Hmm – wyraził niedowierzanie Giver. – Mnie jednak to nie przekonuje...

– A co by pana przekonało, profesorze? Podanie wzoru transformacji energii?

Giver zastanowił się, ale zanim zdążył przytaknąć, Korwetta poczuła, że ma podejść do tablicy. Nie w pełni pojmując, co robi, zaczęła pisać. Nasmarowała jakieś równanie upstrzone sigmami, całkami i pierwiastkami. Słuchacze, którzy dotychczasowy wywód śledzili już z wysiłkiem, teraz byli w stanie zrobić tylko zdęcia wzorowi.

– Czy to bardziej pana przekonuje, profesorze? – zapytał Tragueri i wywołał falę śmiechu.

Giver pokręcił głową, ale dał za wygraną. W zamian podniósł rękę profesor Lange. Tragueri skinął wieńcem i uprzejmie zachęcił go do wystąpienia.

– Zakładam, że cywilizacja uldryjska dobrze się zna na syntezie kryształów – zaczął. – Mnie bardziej interesuje, jakie są własności tego kryształu i jaka jest jego rola.

– Własności są bardzo cenne – odrzekł Tragueri ustami Korwetty. – Będzie to skondensowany magazyn wysokich vibracji. Zdolny do ich utrzymywania. Zapamięta frekwencję pasma zwanego u was miłością i będzie ją w stanie utrzymać. A nam właśnie takiej częstotliwości potrzeba dla uzdrowienia koryfy Cothleya.

Tym razem rękę podniósł doktor Serumen z sekcji inżynierii. Tragueri oddał mu głos.

– Proszę wybaczyć, ale to brzmi nader fantastycznie – skwitował. – Po pierwsze: jak zmierzyć coś, co nazywacie wibracją, a po drugie: jak rozpoznać, że to wibracja miłości? Po trzecie: jaka jest pewność, że tak powstały kryształ, przy założeniu, że w ogóle powstanie, będzie miał zdolności uzdrowienia kogokolwiek?

Komandor Kajetan Brandt pochylił się nad fotelem Roberta Bryniarskiego i powiedział nieźle słyszalnym szeptem:

– Ci nasi naukowcy widzą przecież, że technologią nie dorastają Uldryczykom do nibynóżki. Ale choćby im kaktus wyrósł na ich własnych jądrach, będą zaprzeczać, jeśli to mija się z ich paradygmatem.

– W sekcji naukowej mamy też kobiety – poprawił go ciszej Bryniarski. – Dyskryminujesz je!

Tragueri zdawał się nie tracić cierpliwości.

– Po pierwsze: poziomy vibracji akurat umiemy mierzyć – przekazał. – To częstotliwości, jakie emituje obiekt.

– Jak to? I nie zostały one zmierzone nam, tu obecnym!? – Pode-rwała się z miejsca bardzo atrakcyjna fizycznie podporucznik Galina Dahl.

Wiele oczu spoczęło nagle na jej prężnym biuście, jakby tam szukając wsparcia. Tragueri przygotował się chyba na ludzką nieufność, bo wciąż bił od niego spokój.

– Wam tu obecnym zostały zmierzone i razem, i z osobna – odrzekł. – Tylko nie ogłaszamy tych wyników, bo niczemu cennemu nie posłużą.

– Takie są niskie? – odważył się zapytać ktoś z SYB-u. – Tylko w Sollandzie czy u nas też?

Tragueri odchylił się lekko i wydał drgający dźwięk, który był chyba śmiechem.

– W tym ośrodku akurat są wyższe niż w innych częściach globu – zdecydował się na odpowiedź. – Podobny poziom prezentują pozostałe akademie astronautyki – ubiegł pytanie kogoś z uczelni amerykańskiej. – Ale istotnie, z perspektywy życia w kosmosie do wysokich nie należą – kontynuował bardziej stanowczo niż na poprzednich mitingach. – Konwencja Galaktyczna nie pozwala na kontakt z cywilizacją o takich oscylacjach jak wasze.

Korwetta spięła się nieco, widząc, że rozmowa wkracza na drażliwy temat. Ale wciąż nie czuła niepokoju Tragueriego. Studenci byli też wyciszeni jak rzadko, jakby całkiem pochłonięci.

– Więc mieliśmy szczęście z powodu pecha Cothleya? – zapytał któryś z nich.

– Szczęście i pech nie istnieją – odrzekł zaraz koryfer. – To po prostu sploty vibracji.

– To jakim splotem koryf Cothleya się tu znalazł? – Kadet szybko połapał się w przekazie.

Tragueri nabrał światła w drzewkowatą sieć stiamów, co było widoczne dla ludzi.

– Zostawmy to na razie, bo to długa historia – przyhamował studenta. – I wolalbym, by on sam ją wam przekazał. Ja skończę odpowiedź na pytanie drugie: wibrację miłości rozpoznaje się po jej własnościach. Kto jej w pełni doświadczył, zawsze ją rozpozna. Ale spróbuję opisu waszymi pojęciami. Ma więc składowe takie jak: zachwyt, czułość, chęć opieki, bezpieczeństwo. Ale i lekkość, swobodę, radość. Przejawia się też czuciowiedzą, mocą i pełnią ekspresji. I co najważniejsze, ma wielki potencjał uzdrawiania. Bezwarunkowa miłość wpada w najwyższy rejestr wibracji, choć i ona zawiera frakcje. W ten sposób odpowiem na pytanie trzecie: frekwencje miłości są cenne dla każdej żywej istoty. Ich deficyt prowadzi do degradacji życia, a nawet śmierci. Jeśli chcemy szybkiego uzdrowienia, warto dostarczyć organizmowi te właśnie wibracje.

Słuchacze zamilkli. Trudno im było podjąć dyskusję na temat zjawisk, których nie badali metodami naukowymi. Wtedy odezwał się profesor biologii z akademii syberyjskiej.

– Rozumiem, że ta wysoka częstotliwość jest zbawienna dla Uldryczków – zaczął. – Ale czy jest równie dobrotliwa dla Ziemian?

Korwetta odczuła, że Tragueriego ucieszyło to pytanie.

– Jak wspomniałem, to wibracja wspierająca życie – odpowiedział zaraz. – Skoncentrowana na Ziemi podniesie tu jakość życia. Najogólniej, rozpocznie intensywne procesy uzdrawiania.

Profesor z SYB-u na ekranie klasnął w dłonie.

– Czyli gdyby ten eksperyment... – zawiesił głos – skończył się sukcesem, to skorzystają nie tylko Uldryczycy, ale i Ziemianie?

– W ogólnym rozrachunku z pewnością tak – potwierdził Tragueri.

– A porażka niczym nam nie grozi?

– Nie – odrzekł pewnie koryfer. – Wtedy po prostu nie dojdzie do syntezy. Ale nic złego nie może powstać przy koncentracji właściwej intencji. A tego będziemy pilnować.

Wtedy powstał dowodzący szkołą admirał Hold. Jak niewielu w tej szkole miał szczupłą, niewysoką, choć dobrze zbudowaną treningiem sylwetkę. Jego ścięte na jeża włosy mocno przyprószyła już siwizna.

– Skoro więc nie ponosimy żadnego ryzyka, a obie rasy mogą skorzystać na eksperymencie... – przerwał i powiódł wzrokiem po sali – dlaczegoż by go nie podjąć?

Korwetta lubiła to bystre wejrzenie szarych oczu dowódcy – nie stalowych, lecz ciepłych. Wierzyła w jego dobre intencje, odkąd go poznała. Podobnie jak w intencje Trageriego, który teraz przytaknął ruchem wieńca, ale chwilowo zamilkł. *Dlaczego?*

Robert miał wrażenie, że Uldryczyk chce coś dodać. Zaintrygowany podniósł rękę. Trageri zaraz skinął w jego stronę. Korwetta powiedziała: „Tak, komandorze?”. Nadawca co prawda użył terminu: „koryferze”, który po uldryjsku oznaczał nie tylko dowodzenie załogą, ale też budowanie jej energii. Wolą jednak użyć zrozumiałej dla ludzi rangi.

– Powiedziałeś wcześniej – zaczął Robert i posłał mu przenikliwe, trochę jakby nieufne spojrzenie czarnych jak węgle oczu – że Ziemianie skorzystają w ogólnym rozrachunku. Czy jednak przed ostatecznym wynikiem mogą pojawić się trudności?

Trageri skierował ku niemu niemal wszystkie oczy wieńca.

– Tak, Robert, wiedziałem, że ktoś o to zapyta. I nawet przypuszczałem, że to będziesz ty – odrzekł ustami Korwetty.

Koryfer sprawiał wrażenie rozbawionego i zasmuconego zarazem, co dawało się też poznać po zmiennym tembrze wydawanych przez niego dźwięków.

– Tak, mogą się pojawić, jak zwykle przy pracy z wysokimi wibracjami. – Zamilkł na chwilę. – Zanim ktoś się do nich dostroi, doświadcza faz przejściowych. Podczas uzdrawiania aktywizują się typowe dla osoby zapisy pamięci, nazwijmy je wzorcami, które mają potencjał wywoływania bolesnej rzeczywistości. – Znów przerwał, dając słuchaczom czas na namysł nad nieznaną kwestią. – Jednak w obecności

kryształu sytuacja byłaby szczególna. – Kolejny raz zawiesił transmisję. – Kryształ stanowiłby swoisty parasol vibracyjny. Przy sukcesywnym rozpakowywaniu schowanych wzorców, którego wymaga głęboka terapia, mielibyście też solidne wsparcie vibracji „parasola”, roztoczonych wokół.

Duża część słuchaczy traciła już koncentrację.

– Czy to oznacza, że będziemy sprowokowani do szybkiego rozwoju? – Robert wciąż nadążał za tokiem wywodu. – Także poprzez uzdrowienie traum?

Tragueri przytaknął, pochylając do przodu połowę ciała.

– Tak właśnie – potwierdził. – I to jest decyzja, którą dajemy wam do podjęcia. – Omiótł salę ruchem wieńca. – Odbieram w waszej zbiorowości myśli: *Na szczęście nie każdy nosi traumę*. Otóż zapewniam, że każdy z was nosi, i to w sporej ilości. Czasami od bardzo dawna. Zastanówcie się zatem dobrze, czy tego chcecie. Bo zanim ropiejące rany się zablżnią, ich przecięcie zaboli. Przetnie je właśnie kryształ, który jednocześnie przyspieszy zablżnianie.

Na sali zapadło milczenie. Po długiej chwili odezwał się komandor Kajetan Brandt.

– Jeżeli nic nie stracimy, a w ostatecznym rozrachunku dużo zyskamy, to może warto zaciśnąć zęby przy czyszczeniu tych niby-ran? Skoro mówisz, że z kryształem da się to wytrzymać.

– Też jestem tego zdania – odrzekł zaraz Tragueri. – Bo te, daj boże, niby-rany – Korwetta w ten sposób przetłumaczyła jego myśl: *Obyście ich ból odczuli tylko na niby* – i tak kiedyś przyjdzie wam oczyścić. Gdyż one, nieczyszczone, w końcu zniszczą organizm. A to dopiero boli! Ale z kryształem chwilami może być jak na... rollercoasterze. – Tu tłumaczka zastąpiła ziemskim odpowiednikiem coś, co Tragueri przywołał z własnej planety. – Dopiero wysiadając, wierzymy w zapewnienie konstruktora o pełnym bezpieczeństwie jazdy. Z tym że, podkreślam to raz jeszcze, kryształ jazdę przyspieszy, ale i zamortyzuje. To będzie nasz dar dla Ziemi w zamian za zgodę na uzdrowienie

naszych bliskich. Możecie zwątpić w błogosławieństwo tego daru. Bo wydobędzie z was niechciane uczucia, wstydlive reakcje i stare cierpienie. Czy jak wolicie: niby-cierpienie. Ale utrzyma optymalną atmosferę dla szybkiego zrzućcia tego balastu. W ten sposób ludzkość bardzo przyspieszy w rozwoju.

Rękę podniósł admirał Hold. Słuchaczy zdziwiło, że on tu prosił o głos.

– Zatem zgoda wydaje się mało ryzykowna, a bardzo obiecująca – zauważył. – Tak wynika z twoich słów, Trageri. Ale chyba powinniśmy głosować. Pamiętajmy, że podejmujemy decyzję w imieniu całej ludzkości. Czy w ogóle mamy prawo?

Trageri zwrócił się do niego z wibracją, którą Korwetta odczuła jako serdeczną.

– Masz rację, dowódco Alexandrze – przekazał. – To decyzja w imieniu ludzkości. Ale czy powszechne głosowanie wydaje się wam sensowne? Bo ja wyczuwam, że niewielu Ziemian jest zainteresowanych czy też gotowych do pojęcia tego, co dziś z takim trudem omawiamy. – Wysłał coś w rodzaju przeprosin za podejście protekcyjne, ale Korwetta nie umiała ich poprawnie przekazać. – Czy nie uczciwiej zatem będzie, gdy decyzję podejmą osoby najbliższe sprawie i prawdzie? – kontynuował. – To znaczy społeczność trzech akademii astronautycznych na globie? W szczególności tej szkoły, na której terenie pogrzebany był przez tyle lat koryf Cothleya, której społeczność uczestniczyła w naszym lądowaniu, a teraz bezpośrednio z nami obcuje i najlepiej zna nasze intencje?

Admirał Hold powiódł wzrokiem po wypełnionej po brzegi sali. Przeczesał dłońmi posiwiałe skronie. Ściągnął w napięciu ciemne brwi i zajął w ekrany wideokonferencji.

– Zatem, Trageri, niech decyzję podejmą trzy szkoły gwiazdne, powołane do gwiazdnych decyzji – odpowiedział. – Mamy zgodę dowódców CanAm i AcAs-Sybu. – Skinął głową ku postaciom na telebimie. – Ale niech wypowie się cała społeczność tych szkół. Przygotujmy łącza. – Wezwał gestem jednego z techników czekających przy

konsoli. – Proszę wszystkich o zalogowanie się do panelu głosowania. A więc... – zawiesił na chwilę głos – ...ile osób jest za zgodą na eksperyment opisany przez gości z Uldri? – Sam, wybierając „tak”, powiódł wzrokiem po ekranie, który wyświetlił wynik: 82%. – Kto jest przeciw? – Z ulgą przyjrzał się rezultatowi: 4%. – Kto się wstrzymał? – Teraz ujawniło się pozostałe 14% wraz z nazwiskami sporej części pracowników naukowych.

– Rozumiem wątpliwości kolegów naukowców co do nieznanej materii czy też energii – kontynuował Hold. – Ale czasem trzeba decydować pioniersko, i to w szybkim tempie – westchnął. – Zatem, przyjaciele z Uldri, działajcie, niech historia nam wybaczy!

Tragueri, Diavune i Rapilah pochylili z wdzięcznością wieńce głowowe w jego stronę, następnie w stronę audytorium i kolejno w stronę kamer, oddając tym gestem cześć ludzkości. Korwetta podziękowała słowami „Salamat darlam” w ich imieniu i miting został zakończony. Przybysze szybko oddalili się – zapewne by nie zwlekać z planowaną syntezą.

EGZAMIN WSTĘPNY

Podczas gdy do dowódców trzech szkół astronautycznych, a szczególnie do admirała Holda, spływały i gratulacje, i obelgi z powodu decyzji w imieniu ludzkości, Uldryjczycy przystąpili do eksperymentu. Odosobnili się na ten czas w swoim elipsoidalnym pojeździe, który stacjonował na placu treningowym szkoły. Wykonywali tam bez wątplenia jakąś energetyczną pracę, gdyż co wrażliwszym studentom zdawało się, że nawet powietrze w Akademii stało się rozedrgane. Panujący w murach AcAs hipnotyczny klimat przyciągał coraz więcej ciekawskich.

Korwetta, zwolniona teraz z tłumaczenia, wykorzystała czas na trening fizyczny – temat egzaminów wstępnych w końcu zaistniał w atmosferze ogólnej ekscytacji. Dziś wybrzmiał i wyświetlił się w mediach nieodwołalnie – nadszedł dzień testu.

W tłumie kandydatów Korwetta wypatrywała kolegów z Zespołu, z którymi spędziła trzy lata liceum. Pierwszy dostrzegł ją Michał Wardyn – jak zwykle mocno opalony po wakacjach. Kędziory kasztanowych włosów przystrzygł jak wzorowy kadet. Wyglądał już jak dojrzały mężczyzna, a nie jak chłopiec ze wspólnych treningów.

– Witaj, księżniczko przemieniona pocałunkiem! – rzucił do niej na przywitanie. – Dalej słodko w twoim związku?

– Tak, mój spowiedniku. – Wpadła mu w ramiona. – Psychologa na razie nie potrzebujemy – odrzekła ze śmiechem.

– Ale już minęła ekstaza pierwszej nocy, co?

Zastanowiła się, ale nie nad ekstazą.

– Sądzisz, że wszystko z czasem musi spowszednieć? – Poprawiła taśmę utrzymującą w ryzach jej jasne włosy. – Nie, Michał, nam to nie grozi! – stwierdziła stanowczo.

Uścisnęła się teraz ze wzorowo umięśnioną i po męsku ubraną Justin Colez. Usłyszała od koleżanki: „Ale faktycznie promieniejesz szczęściem, Wett!” Potem przytulił ją David Boeni – jak zwykle rozczochrany, ale też z solidną, męską posturą, którą, o dziwo, nabył dość nagle. Z kolei rudowłosa Gina Voit, dawniej równie chuda jak David, a dziś pełna kobiecego powabu, unikała Korwetty z powodu zadawnionej urazy.

– Robert partycypował niechybnie w układaniu zadań, aaa? – David zwrócił się do Korwetty głosem mocno modulowanym i wsparł tę błagę wymownym spojrzeniem. – Masz, słonko, jakiś przeciek? – z premedytacją użył zwrotu byłego instruktora i zmrużył oko.

– David, nawet go nie spytałam, na szczęście! – Korwetta zaśmiała się z tych podchodów. – A i on nie raczył wspomnieć.

– Pewnie, bo kto jak nie ty roztrzaska w okamgnieniu wszystkie te sty – odpowiedział. – Nie to co ja, biedaczyna, mogłaś pomyśleć o koledze. – Pociągnął demonstracyjnie nosem.

Pozostałych kumpli z Zespołu dziewczyna nie dostrzegła. Wiedziała, że do egzaminu na realną astronautykę dotarli tylko niezłomni. Część dała sobie spokój, wybierając w porę inne zajęcie. Po bliższym przyjrzeniu okazało się jednak, że ze sławetnej czternastki na egzamin przybyła dokładnie połowa.

Test pisemny nie należał do łatwych, ale ci po Zespole poradzili sobie bez trudu. Część sprawnościowa nie zaskoczyła ich również – w końcu nie na darmo trenowali z instruktorem przez cztery lata. Także Korwetta była pewna, że zdała. Gdy podeszła do stołu prezydialnego w ramach podsumowania wyników, podporucznik Galina Dahl poprosiła ją, by usiadła na chwilę na rozmowę z komisją.

– Korwetto, znamy się nie od dziś. – Gala zmrużyła swoje nietypowo błękitne oczy. – Wiem, ile znaczysz i dla kosmicznych gości, i dla niektórych naszych pracowników. – Zawiesiła głos, a przewodniczący komisji kontradmirał Mortini przechylił się nad stołem, by lepiej słyszeć. – Ja jednak chciałabym mieć czyste sumienie, dając ci zgodę na insygnia kadeta AcAs – kontynuowała. – Nie ukrywam, że zaniepokoił mnie twój nieasekurowany skok zarówno z Urwiska, jak i z Sylidora. – Odrzuciła do tyłu fale rozpuszczonych dziś, miedzianozłotych włosów. – I mimo perfekcji w ich wykonaniu żałuję, że komandor Bryniarski nie posłał cię na testy psychologiczne, by wykluczyć skłonności samobójcze – dodała dobitnie.

Korwetta milczała, zła, że nie może powiedzieć choćby tego, iż skok z Sylidora był jednak asekurowany. Ale naraziłaby tym Roberta i Galina doskonale o tym wiedziała, bo sama maczała palce w jego przygotowaniu. Z drugiej strony w trakcie skoku Korwetta o asekuracji nie wiedziała i wywodowi Gali nie dało się zarzucić braku logiki.

– Dlatego sugeruję – kontynuowała podporucznik Dahl – by pomimo świetnego wyniku egzaminu zlecić ci testy teraz. O ile wesprze mnie w tym przewodniczący komisji. – Spojrzała znacząco na kontradmirała Mortiniego.

Ten odpowiedział jej spojrzeniem cokolwiek rozbawionym i Korwecie przyszło do głowy, że błękit oczu pani podporucznik widywał już w innych okolicznościach. *Co by o niej nie gadać, to wzorowa absolwentka i piękna kobieta*, pomyślała z ukłuciem zazdrości. Mortini zaś przypominał jej z twarzy diabła tasmańskiego, ale nie wątpiła w jego życzliwość.

– Nie przesadzałbym z tym, koleżanko Dahl – kontradmirał odezwał się w końcu, ważąc słowa, co było rzadkością u tego żywiołowego sztabowca. – Powiedzmy sobie szczerze: Korwetta nie jest w stu procentach Ziemianką, a nietypowy brak lęku wysokości być może odziedziczyła genetycznie czy energetycznie, jak to tam ta łamigłówka wygląda.

Galina przyoblekła twarz uroczym uśmiechem, napinając pełne wargi.

– To właśnie mam na myśli, admirale – odparła. – Typowy dla Uldryczyków brak lęku wysokości w zestawieniu z ziemskim, dużo gęstszym i podatnym na uszkodzenia ciałem może stanowić aliaż niebezpieczny nie tylko dla Korwetty, ale także dla jej towarzyszy w kosmosie – dokończyła inteligentnie.

Korwetta bliska już była niegrzecznej odpowiedzi, ale wstrzymała się, jak mogła, dla dobra całej sprawy. Wiedziała, że jej test psychologiczny mógłby odbiec od normy, co nie rokowało dobrze. Wiedział o tym zapewne też Idi Mortini, bo skwitował:

– Nie, nie będziemy robić testów osobie, której nietypowe w końcu cechy zapewniają nam bezpieczeństwo i poprawność kontaktu z *Extraterrestrials*. – Nabrał powietrza po długim zdaniu. – Byłby to rodzaj paradoksu, nieprawdaż?

Milcząca dotąd trzecia członkini komisji, kapitan Oriana Bent, skinęła szybko głową. Posłała Gali niechętnie spojrzenie dużych, orzechowych, zwykle serdecznych oczu.

– Ona uratowała w dniu kontaktu honor tej szkoły – odezwała się przyjemnym w brzmieniu głosem, za to szorstkim tonem. – Owszem, ryzykując życie. – Przeszła wzrokiem spłoszone teraz oczy Gali. – Gdyby tego nie zrobiła, dbając o te testy, to pani podporucznik – wskazała rozmówczynię ruchem brody – nie wygrzebałaby się z wyrzutów, stojąc tam jak słup soli.

Korwetta spojrzała na nią z wdzięcznością. Galina natomiast ze słabo ukrywanym żalem, który przekierowała do Mortiniego. Nie znalazła w nim wsparcia, więc rzekła szybko:

– Rozumiem. Proszę mi wybaczyć, nie chciałam tylko czegoś przeczytać... A więc, kadetko Burchard, gratuluję przyjęcia w szeregi studentów Akademii Astronautyki!

Wstała i podała rękę Korwecie. Ta odwzajemniła uścisk najlżej, jak potrafiła.

OBIETNICA

Gdy Korwetta dotarła do mieszkania, rzuciła do Roberta już od progu:

– Twoja była omal mnie nie uwaliła!

Szybko podniósł się od komputera.

– Słyszałem, że chciała cię skierować na testy – odrzekł spokojnie. – Na pewno wyszłoby u ciebie nadmierne poleganie na sobie. – Podszedł i zlustrował ją wzrokiem, w którym nie doszukała się współczucia. – I nie skomentuję tego „twoja była”.

Zaśmiała się ironicznie.

– Nie komentuj, bo trzeba poprawić liczbę. W komisji były dwie twoje byłe. – Uniosła palec środkowy i wskazujący. – Kapitan Bent była za to świetna – przyznała. – A nieumiejętność współpracy w kryzysie to dyskwalifikacja astronauty – dodała z nutą żalu. – Więc po teście odpadłabym. – Wyszarpnęła taśmę z włosów, splecionych ciasno na czas egzaminu.

Robert zastanowił się przez chwilę.

– Współpracować w kryzysie akurat potrafisz, nie o tym mówiłem – odrzekł. – Tylko zbyt wiele czasem ryzykujesz i Gala o tym wie. Ale nie wie, że obiecałaś mi tego nie robić – dodał już przymilnym tonem, którym zawsze ją rozbrajał. – Gratuluję, studentko AcAs. – Uniósł ją w górę i zakręcił wokół siebie.

Przychodziło mu to z lekkością, bo sporo jej brakowało, nawet z wypracowaną muskulaturą, do sześćdziesięciu kilo, których oczekiwano

na AcAs przy wzroście metr sześćdziesiąt pięć. Na szczęście bez rygoryzmu, byleby sobie radziła na symulatorach...

Przypomniała sobie, kiedy obiecała Robertowi ograniczyć ryzyko. Właśnie w dniu uldryjskiego lądowania, tego jawnego, zwanego inicjacją albo kontaktem, gdy ocaleni wrócili do jego mieszkania po konferencji prasowej.

Mieli wtedy szybko przywieźć jej rzeczy z domu Burchardów, ale Robert nagle wszystko przerwał.

– Zaczekaj, powiem ci coś bez odkładania. – Zaprezentował to nowe podejście, nabyte zaledwie dzień wcześniej. – Bo czuję się podwójnie – zawahał się, czy wchodzić w emocje. – Choć jestem z ciebie dumny jak z bohaterki dnia, to nie przeszła mi wściekłość. Że tak ryzykowałeś, że w ogóle wskoczyłaś do tego pancernego śmiecia! – dobiegł głosem ciężkim od pretensji.

Wspięła się na palce, by sięgnąć ustami jego policzka.

– Rob, wiesz, że musiałam – rzekła cicho.

– Wiem. I nie mogę znieść mojego rozdwojenia. – Pociągnął ją na sofę.

Cieszyło ją, że Robert kontynuuje coś wcześniej nie z jego bajki – okazywanie bardzo wprost tego, co się z nim dzieje. Teraz, prócz emocji z placu treningowego, poczuła atmosferę jego historii sprzed trzydziestu sześciu lat – z podkrakowskiej Trójoazy. Przytuliła go z czułością – jak zrozpaczonego noworodka, który właśnie stracił matkę.

– Widzę, że to coś mocnego, kochany – szepnęła mu do ucha. – Nie warto tego tłumić, bo wracają pewnie jeszcze raz twoje narodziny.

Westchnął ciężko.

– Jeśli mam tego nie tłumić, to chce mi się krzyknąć: „Znowu ta jebana winda!?” – nawiązał do miejsca narodzin. – Ale to chyba coś więcej. – Ujął jej twarz w obie dłonie. – Złość na ciebie, że tak łatwo zaryzykowałeś tym, co mamy. I to idiotyczne jest, bo wrzeszczałbym jak dzieciak: „Nie pomyślałeś, że mnie zostawiasz!”. – Powstrzymał cisnące się do oczu łzy.

– Winda, jak w mordę strzelił – zdiagnozowała przytomnie. – Ale ja cię nie zostawiałam! – Wróciła myślami do wnętrza pancernego schronu. – Wbrew logice czułam, że wyjdę!

Skinął głowę, ale bez przekonania.

– Pewnie byłaś już w kontakcie z Tragerim – odrzekł. – I mój głupi żal to egoizm przy ratowaniu tyłu istnień...

Wsunęła dłonie pod jego mundurową bluzę.

– Twój żal nie jest głupi, cieszę się, że wypływa – powiedziała. – To dziecko w tobie, kiedyś opuszczone, ma prawo pokazać, czego chce.

Pokręcił głową, ale wszedł w ten zamęt – chyba już na bazie uldrijskich wpływów.

– To dziecko chce rzeczy niemożliwej – rzucił. – Zapewnienia, że ty go nie opuścisz. – Rozłożył bezradnie ręce. – I zaczyna mnie wkurzać, że się tak rozklejam – dodał z irytacją.

Przylgnęła do niego najciszej, jak potrafiła.

– Zapewniam, że nigdy cię nie opuszczę – powiedziała. – Ale obiecaj, że nie będziesz się wstydził takich stanów przede mną. – Znów odczuła tę łączność z Tragerim, która prowadziła ją od rana. – Bo jeśli wzorce bólu mają na dobre odejść, a przy kontakcie z Uldri szansa rośnie, to trzeba im otworzyć drogę – dokończyła już jakby nie sama.

Robert się zawahał. Po chwili powiedział:

– Obiecuję, pod warunkiem, że też mi coś obiecasz. – Zbliżył usta do jej ucha. – Że nie będziesz szafować życiem i przekraczać ZIEMSKICH granic bezpieczeństwa.

– Obiecuję, słowo, obiecuję! – rzuciła bez wahania. – Nawet bardziej dla ciebie niż dla siebie.

Obsypał pocałunkami jej twarz.

– Dziękuję, Wett – powiedział uspokojony. – Z moim zapętleniem nie jest tak łatwo, jak myślisz – dodał. – Przybiera różne postacie. Nie wiem, czy to przetrwasz...

Uśmiechnęła się rozbrajająco.

– Z tobą przetrwam wszystko – odrzekła natychmiast. – Ale jeśli ty mnie opuścisz, nie przetrwam następnego dnia! – Spojrzała mu w oczy z powagą.

Wplótł dłonie w jej miękkie włosy.

– Dzielna dziewczynko, nie wiesz, na co się porywasz. – Uśmiechnął się przez łzy, które jednak wdarły mu się pod powieki. – Kocham cię rozpaczliwie, jak mógłbym cię opuścić? – Rozsunął zamek jej garsonki, którą pożyczyła od matki na konferencję.

Po chwili była w stanie tylko oznajmić przez telefon zmienionym głosem:

– Mamo, wybacz, dziś jednak nie przyjedziemy po te ciuchy.

MAMY KRYSTAŁ

Poczynania Uldryczyków, mimo że fizycznie niewidoczne, dało się wy-
czuć poprzez zmieniającą się z dnia na dzień atmosferę w AcAs-Solland.
Tak jakby wzrósł poziom radości. A ludzie przyłgnęli do siedziby Aka-
demii. Był upalny lipiec, sam środek sezonu urlopów, ale kadra uczelni
wciąż tu była. Pracownicy stawiali się codziennie, choć nie mieli zajęć
ze studentami. A i studenci znajdowali wciąż nowe preteksty, by się tu
zjawiać. Panował klimat biwaku, pikniku czy też wakacyjnego obozu,
na którym przełożeni bratali się z podwładnymi, żartowali na temat
Kosmitów, opowiadali mniej lub bardziej pouczające historie z życia
i co chwilę wybuchali śmiechem. Wszyscy spoglądali też z uwagą w kie-
runku zbudowanego przez Uldryczyków ogrodzenia. Powstało obok
zaparkowanego na placu kosmicznego pojazdu, zwanego bolidarem.
Choć nie dało się zajrzeć poza ogrodzenie, niewątpliwie coś tam rosło.
Wraz z tym wyczuwalnym czymś rosła lekkość i ekscytacja bez jasne-
go powodu. Choć i tak było tu znacznie lżej po przybyciu tych z Uldri.
Ale im najwyraźniej brakowało czegoś jeszcze...

I nagle, przedostatniego dnia lipca, bez najmniejszego ostrzeżenia
ściany ogrodzenia opadły. Obecni na placu i ci w pobliżu okien poczu-
li się niemal oślepieni. W pierwszym odruchu zasłonili oczy, by otwie-
rać je powoli, powtarzając sobie, że Uldryczycy nie zrobiliby krzywdy
żywej istocie. Intensywne lśnienie szybko stawało się znośne, tak jak-
by wzrok się do niego dostrajał. Budynki wokół placu treningowego

skąpane teraz były w nietypowym, miedzianym blasku. Uwaga widzów kierowała się jednak ku czemuś, co tkwiło obok bolidaru i z czym zachodzące słońce zdawało się wymieniać światło. Wymieniać płynnie, jakby w powietrzu skroplił się metal... A więc Uldryczykom się udało!

Obok ich statku stał kryształ! Wielofasetowy, przezrysty, połyskujący odcieniami złota. Wysoki na jakieś trzy metry, o kubaturze ćwierci uldryjskiego statku. Był – jak by nie patrzeć – nieziemsko piękny! Zapierał dech nawet niewzruszonym oficerom.

Wkrótce przy kryształach pojawiły się trzy znane już wszystkim istoty z Uldri. Uniosły w górę swoje wysuwane kończyny. Choć nikt nie tłumaczył teraz ich mowy, wszyscy zrozumieli, że gest oznacza sukces eksperymentu. A na tablicy świetlnej pojawiło się zaproszenie na mityng o czternastej następnego dnia. Lecz obecnych teraz nie wyproszono z placu i jakoś nikt nie zbierał się do odejścia. Kryształ przyciągał w niejasny sposób nie tylko uwagę, ale jakby i fizyczne ciała. Wzbudzał zachwyt jakąś rozluźniającą, ekstatyczną emanacją. Pracownicy i studenci siadali na schodach, na swoich plecakach, torbach czy wręcz na pasach chodników i wpatrzeni w monolit, pogrążali się w spontanicznej kontemplacji. Ludzie AcAs różnych rang przycupnęli w milczeniu obok siebie, doświadczając wspólnego wzruszenia. Kryształ błyszczał złotawo nawet po zachodzie słońca, roztaczając wokół aurę czarownej intymności.

Pierwsi przebudzeni z transu odeszli około północy, najwytrwalsi pozostali tu do rana. Śledząc nagrania z kamer, szef bezpieczeństwa *in spe* Eric Warren nie mógł pozbyć się myśli: „To się dobrze nie skończy”.

POŻAR

Następnego dnia – jak łatwo było przewidzieć – w murach AcAs pojawiły się tłumy. Niemal wszyscy pracownicy zameldowali się w swoich pokojach już o dziewiątej rano. Studenci natomiast zajęli otwarte przestrzenie budynków lub dostępne sale ze sprzętem IT. Najmniej pewnie czuł się pierwszy rok, który – choć formalnie przyjęty w szeregi Akademii – nie miał jeszcze wszczepionych w przedramiona Detektorów-Lokalizatorów, które pozwalały poruszać się swobodnie po terenie uczelni. Pierwszy rok zgłosił się tłumnie na wszczepienie owego czipa i zajął wszystkie terminy w Ośrodku Zdrowia. Bez choćby najniższego w hierarchii czwartego DeLo niemożliwe było wejście na mityng z Kosmitami o drugiej, a o to głównie pierwszorocznikom chodziło. Chcąc im pomóc, pracownicy IT zdecydowali się wykonać szybko ostatni etap procedury, polegający na sprzężeniu czipa z systemem informatycznym. Tuż po południu zaprosili pierwszy rok do biblioteki. Mieściła się na czwartym piętrze budynku zwanego wykładówką. Dla podążających tam absolwentów Zespołu Eksperymentalnego procedura była krótsza – ponieważ posiadali już od roku czwarte DeLo, potrzebowali tylko zmiany jego oprogramowania.

Korwetta, jako tłumaczka gości z Uldri, miała zapewniony wstęp na konferencję. Postanowiła jednak dopełnić procedury w bibliotece i przy okazji przyjrzeć się nowym kolegom z roku. Tymczasem owi koledzy jeszcze bardziej chcieli przyjrzeć się jej – słynnej Kosmitce (którą

nie była) czy też Hybrydzie (którą była tylko energetycznie), znanej nie tylko z transmisji spotkań z gośćmi, ale też z dnia inicjacji. W tym dniu, na oczach dziennikarzy, została przecież uwolniona przez lądujących Uldryjczyków z rodzaju bunkra, w którym więziony był przez wiele lat koryf Cothleya.

Gdy weszła do biblioteki, wszystkie oczy zwróciły się w jej stronę. Uśmiechnęła się do około trzydziestu nowych kolegów i dziewięciu koleżanek. Stała obok kumpli z dawnej sekcji – Michała Wardyna i Davida Boeni, którzy zawsze witali ją ciepło. Z resztą byłego Zespołu wymieniła gest podniesienia dłoni. Ponieważ poruszanie się po terenie AcAs wymagało podjazdów na otwartej przestrzeni, ubrana była jak zwykle w dzinsy i wygodną bluzkę. Pomyślała, że czas pobrać mundur, i dostrzegła z uśmiechem przekory, że niektóre z koleżanek wystroiły się jak w wielkie święto. Zrobiła to też o dziwo Georgina Voit, która od dawna знаła uroki studiowania na AcAs. Jej nieregularnie rozpuszczone, rudobrazowe loki spływały dziś na krótką sukienkę, która eksponowała jej kształtne ciało. Gina unikała wzroku Korwetty. Ta zaś nie łudziła się, że przywróci dobrą relację ze znaną z mściwości koleżanką. Choć dawniej współpracowały z entuzjazmem. *Ale kto tu powinien się wstydzić?*

W tym momencie do biblioteki wszedł Robert w codziennej kobałtówce. Dawny Zespół przywitał go okrzykami: „Cześć, komandorze! instruktorze! szefie!” czy wręcz po imieniu. Taka zażyłość z oficerem sztabu zaskoczyła świeżych studentów. Szybko jednak połapali się, że komandor Bryniarski to dawny instruktor tych wytrenowanych kolegów. Pamiętali go nie tylko z konferencji, lecz głównie z majowego lądowania, jako tego, który ignorując rozkazy ówczesnego dowódcy AcAs, dał szansę przeżycia grupce Uldryjczyków.

Wychowankowie otoczyli Roberta i zasypali pytaniami, czy przyszedł ich odwiedzić. Odpowiedział z uśmiechem: „Oczywiście!”. Jednocześnie pokazał Korwetcie wiadomość na ekranie telefonu. Zdążyła zapytać: „Zmiana godziny? Dlaczego?”, a on odrzec: „Nie mam pojęcia!”, gdy

ni stąd, ni zowąd włączył się alarm przeciwpożarowy. Obecni w sali zamarli. Intensywność dźwięku syreny zwiększyła się jeszcze, a z głośnika popłynęła sentencja wypowiedzana uprzejmie, aczkolwiek stanowczo: „Ogień w budynku! Natychmiastowa ewakuacja właściwą drogą!”.

– To nie wygląda na ćwiczenia – stwierdził Robert. – Zresztą, kto by je robił przed mityngiem?

– Znasz właściwą drogę ewakuacji stąd? – upewniła się Korwetta.

– Strzałki na podłodze. Podjazdami ani windami nie wolno, tylko tą klatką dwa piętra w dół. – Otworzył drzwi biblioteki, a docierający hałas syreny wzmógł się jeszcze. – Potem obok laboratoriów... – Zorientował się, że powinien kierować ewakuacją z tej sali jako najstarszy rangą. – Wychodzimy bez ociągania! – rzucił głosem nieznoszącym sprzeciwu do pracowników IT i do młodzieży.

Wszyscy obecni w bibliotece opuścili ją szybko i skierowali się na schody. Robert narzucił tempo ruchu. Przyjrzał się ubraniom i butom chwilowych podopiecznych. *Lipiec, gołe ramiona, no i dwie dziewczyny na obcasach!*... Zeszli pospiesznie schodami dwa piętra w dół. Robert otworzył drzwi na korytarz przy laboratoriach. I jeszcze szybciej je zamknął.

– Uwaga, tam są płomienie – powiedział z wymuszonym spokojem.

Ledwie uwierzył w to, co widzi. Dziwny był nie tylko pierwszy w historii szkoły pożar, ale też fakt, że automatycznie włączone gaśnice nie radziły sobie z ogniem.

– Schodzimy jeszcze niżej! – dodał.

Bez słowa podążyli za nim. W grupie młodzieży dało się wyczuć rosnący niepokój. Robert podeszedł do wejścia w korytarzu pod laboratoriami, wdzięczny konstruktorowi za materiał, z którego wykonano klamki. Ta też się nie rozgrzała. Popchnął drzwi i spojrzał przed siebie. Kilka osób zajrzało tam za nim i zareagowało okrzykami zgrozy. Sufit stał już w płomieniach. Spotężniały jeszcze, gdy zasiłł je tlenem.

– Niżej zejść schodami się nie da – oznajmił niemal serdecznie.

Starał się nie wzmóc niepokoju w grupie, którą, sądząc po szep-
tach, ogarniał lęk.

– Musimy przebić się tędy! – dodał.

– Przecież tam się pali! – rzucił rośli chłopak ze źle skrywaną zadyszką.

– Nie można tu zaczekać na straż? – wtrącił kolejny student nie-
pewnym głosem.

– Nie – odparł Robert. – Za kilka minut będzie tu gorąco i dym.
Opcja B to skakać z pierwszego piętra. Ale i tak musimy wejść w zajęty
korytarz, bo okna są tam. – Wskazał zamknięte przed chwilą drzwi. –
Szlag by trafił, akurat tu brak podjazdu! – myślał w pośpiechu.

Kilka osób, głównie dziewcząt, nie pohamowało krzyków. *Jeszcze
jakiś pisk!*

– Astronauta nie panikuje! – rzucił głośno komandor.

Towarzystwo uciszyło się natychmiast.

– Teraz dobrać się parami, które nie mają prawa spuścić się z oka
do końca ewakuacji! – wydał chłodno polecenie.

Podopieczni, z informatykami włącznie, ustawili się dwójkami. Ro-
bert wyjął komórkę i umyślnie wybrał tryb głośnomówiący. Numer
zgłosił się natychmiast.

– Kaj, schodzicie z auli?

– Tak, tłum nieludzki – odpowiedział męski głos.

Korwetta z miejsca rozpoznała komandora Kajetana Brandta.

– Musisz nam pomóc, Kaj. Schodzę z pierwszym rokiem z biblio-
teki i laboratoria płoną. Przebiegniemy korytarzem pod nimi. Musimy
wbić się w waszą drogę ewakuacji. Zatrzymaj ten tłum, *please*, i spójrz,
jak wygląda koniec korytarza!

– Robi się – rzucił Kajetan.

Po chwili słychać było nawet tutaj jego potężny głos. Zgodnie
z umową ustawiał zbiegających główną drogą ewakuacyjną.

– Zajrzałem w te drzwi – kontynuował po chwili do telefonu Kaje-
tan. – Gorąco, sufit w płomieniach, ale powinniście przejść. Daj znać,
jak ruszycie, to je otworzę.

Robert zwrócił się do czterdziestu dwu osób czekających parami na schodach:

– Michał z Davidem, prowadzicie. Na mój sygnał ruszacie biegiem. Do drzwi otwartych przez Kajetana.

Wywołani podeszli do niego i skinęli posłusznie.

– Kolejne pary za nimi. – Pokierował kilkanaście osób do przodu. – Herbert i Filip, zróbcie siodło dla tej panny w obcasach!

– Szeffie, szybciej pobiegniemy, jak wezmę ją na plecy – podpowiedział Herbert.

– Dobra! – Robert pomógł najlepiej zbudowanemu kadetowi wsadzić dziewczynę okrakiem na biodra. – Filip z Korwetą, ubezpieczacie z tyłu. Gina, ty pobiegniesz w tych obcasach?

– Jasne! W razie czego mogę zdjąć buty! – odkrzyknęła natychmiast kadetka Voit.

– O ile podłoga nie jest gorąca! Teraz informatycy, parami przede mną!

Korwetta opuściła Filipa i cofnęła się do Roberta.

– A ty gdzie masz być!? – krzyknął do niej bez kurtuazji.

Pokornie wróciła na miejsce, myśląc, że spoko, że chyba nie dzieje się dramat.

– Kaj, ruszamy! – rzucił Robert do telefonu i otworzył drzwi.

Michał z Davidem wskoczyli w nie natychmiast, prowadząc resztę grupy. Dostrzegli zaraz wyjście otwierające się na końcu korytarza. Sufit zaskwierczał groźnie, a niebieskavo-czerwone płomienie rozpełzły się łapczywie. Nie sięgnęły jednak głów biegnących. Robert wypuszczał lub wręcz wypychał ociągających się kadetów, powtarzając co jakiś czas magiczne: „Dacie radę, astronauta!”.

Informatycy o dziwo nie tragizowali. Karnie ruszali w płonący przesmyk. Pracując na AcAs, poddali się militarnemu reżimowi. W końcu i Robert wbiegł w korytarz i podążył za nimi. Było tu już sporo dymu, ale dało się przebiec. Jeszcze... Wszyscy wpadli bezpiecznie w drzwi asekurowane przez komandora Brandta i popędzili schodami w dół do

głównego wyjścia. Wtedy Kajetan odblokował ruch z góry i wmieszał się w zbiegający tłum.

Podopieczni Roberta wydostali się przed budynek. W marszu kazał im sprawdzić, czy widzą swoje pary. W końcu się zatrzymali.

– I co teraz, komandorze? – zapytał jakiś kadet.

– Teraz można bezpiecznie zapytać: *What the fuck!?*... – Robert odpuścił sobie dowodzenie.

Zaraz też dopadł go biegnący z budynku Kajetan.

– Co to było, do kurwy nędzy!? – rzucił zirytowany.

– Sądząc z nieskuteczności naszych gaśnic, pewnie jakaś fotochemia – odpowiedział mu już spokojnie kolega.

– Spójrz, zasłonili kryształ! – Kajetan wskazał najważniejszy fragment placu treningowego. – I odlecieli!? – zdziwił się, nie widząc uldryjskiego bolidaru.

– Nie, statek jest nad naszą wykładówką! – zauważył Robert.

Rzeczywiście, stalowozielona elipsoida wisiała nad ewakuowanym budynkiem. Wypuściła z dolnego wjazdu niebieskawy stożek jakiejś zawiesiny czy może pola siłowego.

– Podnieśli statek, by gasić nasz pożar! – skonstatował Kajetan.

– Albo swój pożar – poprawił Robert.

– Myślisz, że to ten kryształ? – zaczął kojarzyć Brandt. – Potężna wiązka światła, czy podobnej fali, zaktywizowała coś w naszym laboratorium?

– Chyba. Zapaliło się około dwunastej, gdy słońce świeci najsilniej.

– Ciekawe, jak się będą tłumaczyć – podsumował Kajetan.

Zbliżył się do grupy kadetów, którymi przed chwilą dowodził. Na placu gromadzili się studenci kolejnych lat. Kadra sprawdzała, czy nikt nie został w budynku.

Roberta otoczyło zaraz kilka dziewcząt z pierwszego roku. Odcięły nawet dostęp chłopakom. Zadawały na przemian pytania, według Korwetty naiwne i nieistotne. *Znowu te samicze reakcje na lidera, to jakaś plaga!*, pomyślała z niechęcią. I obawą, która – choć irracjonalna – nie dała się opanować.

Robert wy dostał się z kręgu i jak nigdy na uczelni, objął ją ramieniem. Nie ścisząc głosu, powiedział:

– Przepraszam, kochanie, że na ciebie nawrzeszczałem, ale nie rób tego więcej.

Uśmiechnęła się do niego, uspokojona.

– Odeszłam, bo zagrożenie było małe – odparła też otwarcie. – Ale chyba nie umiałabym cię zostawić, gdyby naprawdę miał się dramat – przyznała szczerze.

Ich rozmowa wzbudziła zainteresowanie kadetów. Żywsze nawet niż lądujący na dawnym miejscu uldryjski bolidar, który skończył właśnie misję ratowania budynku. Młodzi studenci, nieświadomi relacji tych dwojga, zdradzali teraz pomieszanie.

– Dlatego właśnie pary nie powinny latać na tej samej jednostce – odpowiedział Robert.

Wtedy znalazła się przy nich Gina.

– Ale gdyby tak się zdarzyło, to zachowałbyś się zgodnie z regulaminem? – zwróciła się do byłego wychowawcy. – I nie chroniłbyś Korwetty bardziej niż innych?

Zareagował krzywym uśmiechem.

– Przy śmiertelnym zagrożeniu, pojęcia nie mam! – odpowiedział, zaskakując nie tylko Ginę.

– To jakie jest uczciwe wyjście? – kontynuowała rudowłosa kadetka.

– Zawiesić chwilowo to, co nas łączy? – podpowiedziała Korwetta.

– Nierealne – odrzekł Robert. – Po prostu nie wejdiesz na statek, którym dowodzę – dodał stanowczo. – A przynajmniej nie powinnaś – sprostował, widząc jej gasnący uśmiech.

Spojrzał na swoje lewe przedramię, bo wyczuł sygnał wydawany przez DeLo. Jego było zerowe – sztabowe, najwyższe w uczelnianej hierarchii.

– Hold mnie wzywa do tulexu – rzucił do Korwetty.

I ruszył w stronę okrągłego pojazdu służącego jako awaryjne miejsce dowodzenia, z którego admirał skorzystał najwyraźniej z powodu

pożaru. Korwetta stała chwilę w milczeniu, po czym pobiegła za Robertem. Z trudem dotrzymywała mu kroku.

– Dzięki za to, co zrobiłeś, to był majstersztyk! – powiedziała.

– Co, ewakuacja? – zaśmiał się. – Mogliśmy jeszcze wyjść na dach, Kosmici by nas zgarnęli.

– Nie. To jak odstawileś te laski. Można było mierzyć w metrach, jak nabierały dystansu.

Przygryzł usta, udając powagę.

– Widziałem, że wcześniej nie miałaś się najlepiej – przyznał.

– Znow dopadała mnie zazdrość – westchnęła. – To paranoja. Ale doceniam, że mi pomagasz.

Odwrócił się do niej, nie zwalniając kroku.

– A skąd wiesz – uśmiechnął się przewrotnie – że nie zaznaczyłem też swojego terenu? Wobec chłopaków z twojego roku?

Zatrzymała go na drodze.

– Naprawdę to zrobiłeś? – Roześmiała się.

– Jeśli tak, to ledwie świadomie. – Mrugnął do niej.

Cmoknęła go w policzek, nie bacząc na regulaminy. I zaraz odbiegła do swojej grupy. Wkrótce sama została wezwana do uldryjskiego bolidaru.

SPIS TREŚCI

INTRO	5
MIESIĄC WSPÓLISTNIENIA	6
PODEJRZANA SYNTEZA	12
PRZEŁOMOWY WIEC	16
EGZAMIN WSTĘPNY	28
OBIETNICA	32
MAMY KRYSTAŁ	36
POŻAR	38
ULDRYJSKA SKRUCHA	46
PILNY KONTAKT	53
WTEDY – BABCIA Z TRÓJOAZY	57
LATAJĄCE DOMY	77
WTEDY – OBROŃCY REPUTACJI	78
ZŁOM Z MAHABOR	84
WTEDY – ULDRYJSKI PRZEPŁYW MIŁOŚCI	86
ZABRAĆ CUCHNĄCY OWOC	89
WTEDY – INKUBATORY	90
POWITANIE COTHLEYA	97
ODLOT SPRZYMIERZEŃCÓW	107
INAUGURACJE	110
WYSOKO NAD ZIEMIĄ	119
NIEZDROWA FASCYNACJA	131

RYCHŁY START	147
ŚMIERĆ NEREIDY	151
KTO TAM POLECI?	159
ZAŁOGA GEYSERA	165
POŻEGNANIE BOHATERÓW	170
LUDZKI NIEPOKÓJ	176
KONTAKT Z WYBRAŃCAMI	179
BOLESNA SZCZEROŚĆ	186
PRZED BURZĄ	189
BITWA O ZIEMIĘ – Wprowadzenie	196
BITWA O ZIEMIĘ – Rozwinięcie	205
BITWA O ZIEMIĘ – Tryb gotowości	213
BITWA O ZIEMIĘ – Zakończenie	218
CHWIŁA PO BITWIE	224
NARODZINY LEGENDY	228
GDZIE NAS PONIOSŁO?	233
CZAS NADZIEI	240
PARADOKS CZASOWY	242
WĄTPLIWOŚCI	247
SYTUACJA PRZYMUSU	250
NA DZIEWICZYM ŁĄDZIE	258
ŚCIEŻKA PENELOPY	262
ZAGOSPODAROWANIE	266
POŚĘPNA ROCZNICA	271
JAJA I GNIAZDA	279
ROZRYWANIE SKORUPY	283
JA ICH ZABIŁEM	288
URWANY PRZEKAZ	291
DYSKUSYJNE OCALENIE	293
NOWE ŻYCIE	299
ABSOLWENTKA	301
PROBLEMATYCZNY NARZĄD	304

ZWODNICZE RACHUBY	308
TEN NOWY I DRGANIA WŁASNE	313
WRAŻLIWE DANE	321
PODŁĄCZENIE	328
NOCNE MARY	330
PIERWSZY SUKCES	333
KOŃ W GALOPIE	338
NIEFORTUNNY SKOK	342
PORA DESZCZOWA	346
NIEZBITY DOWÓD	348
DRUGI RAZ W ŻYCIU	358
W IMIĘ PRZYJAŹNI	365
NIE CHCĘ GO W ŁÓŻKU	368
ZAMIERANIE SONDY	373
PORÓD	377
OSTRZEŻENIE	384
CZY TO MOŻLIWE!?	392
TRATWA RATUNKOWA	396
CZEKAJĄC NA BOHATERÓW	401
PRZYBYWAMY	405
ROZMNOŻYLI SIĘ?	408
WIELKI DZIEŃ	410
CZEGO CHCESZ ODE MNIE?	418
NARADA MIĘDZYPLANETARNA	427